

Darek Bilski

**UKŁADANKA NA DWANAŚCIE SEKUND  
( monodram refleksyjny żeński )**

*Aktorka grająca tę rolę powinna wyglądać na dziewczynę najwyżej dwudziestokilkuletnią, w dość skromnym stroju, może jakaś prosta sukienka, włosy najlepiej długie i rozpuszczone, muzyka łagodna, nie natarczywa, pozostająca w klimacie słowa, bo słowo jest tu wartością nadrzędną.*

*Rekwizyty ograniczone do minimum, bez wyszukanej scenografii.*

*Idealem byłaby postać na niemal pustej scenie wspierana dyskretnie sączącą się muzyką.*

*Światło wyłącznie białe.*

*Oczywiście te warunki dotyczyły sposobu w jaki ja wystawiałem ten spektakl, ale ponieważ nigdy nie byłem z rezultatu dostatecznie zadowolony, być może należy wystawić go w zupełnie inny sposób.*

**A:** Najpierw był obraz: kobieta w białej, atlasowej sukience na tle wysokiego muru, jedna ręka przyciśnięta do ust, druga wyciągnięta przed siebie, lekko unosi się na palcach i ze smutkiem spogląda gdzieś w dal... Przed nią jest cisza, za nią tylko mur i powietrze zastygłe i szare.

Potem odzywają się dzwony, potem pada deszcz, potem jest wszystko inne...

**A:** Nie pamiętam już czy to był sen, czy jakieś płótno dostrzeżone w galerii, a może czyjaś sugestywna opowieść. Nie pamiętam wielu rzeczy, nie pamiętam numerów telefonów ani tego jak On znalazł się w moim mieszkaniu. Może po prostu przyszedł któregoś popołudnia, zadzwonił do drzwi, wpuścił go i zaczęliśmy rozmawiać. Albo poznaliśmy się u Piotra podczas jednej z licznych imprez tamtej deszczowej jesieni, trochę tańczyliśmy, potem żartowaliśmy i piliśmy jakieś słodkie wino lub też uśmiechnął się do mnie w sklepie, ja odpowiedziałam uśmiechem, usiedliśmy na pobliskim skwerze i rozmawialiśmy o sobie długo, póki nie zaszło słońce...

**A:** Może to zresztą nie ma znaczenia. Postawiłam na stole kwiaty, jakieś ciastka, dzbanek z sokiem, usiadłam przy oknie i czekałam. To był upalny dzień, brakowało powietrza, przemyłam twarz zimną wodą i czekałam. Założyłam jasne spodnie, koszulkę w paski i czekałam. Dzieci zbiegły po schodach, słyszałam jak drżą poręczce. Czekałam. Potem zadzwonił telefon. Ktoś mówił słowami. Słowa jak drobne kuleczki rozsypały się po pokoju. Odłożyłam słuchawkę. Chciałam tylko czekać, chciałam cała być tym czekaniem. Czekałam.

**A:** Kiedy przyszła zima wyjechałam z miasta. Pociąg zawiózł mnie na małą stacyjkę w głębi lasu. Nikt mnie nie witał tylko ośnieżona zieleń. Usiadłam na ławce, było tak cicho. Najpierw zapadł zmrok, a później świt rozproszył ciemność. Nadjechał pociąg, więc wsiadłam i wróciłam do domu. Pierwszy raz od tak wielu lat zrozumiałam znaczenie słowa wolność. Robić to, czego się naprawdę chce.

**A:** Czasem mój dom jest jak więzienna cela. Okna i drzwi szczelnie zamykają się gdy wchodzę. Z zewnątrz nie dochodzi żaden dźwięk, żaden sygnał życia. Telefon milczy, telewizor martwo spogląda ślepyim okiem, w radiu jednostajny szum kosmosu. Meble i sprzęty zastygłe w półmroku zdają się być pogrążone w sennym odrętwieniu. Nawet w rurach nie stuka, jak zwykle. Jestem odcięta od świata.

Być może wtedy świat przestaje istnieć. Poza murami mojego domu jest tylko nicność, albo też nawet jej nie ma. Po prostu niebyt, nieistnienie, absencja, dematerializacja i cały zestaw równie absurdałnej terminologii. No bo jak nazwać próżnię po czymś? Jak nazwiecie miejsce, w którym leżała spinka do włosów skoro jej nie ma? Taki stan nie ma nazwy, jedynie lukę po nazwie, a tej nie da się wypowiedzieć.

Jak nazwiecie miejsce po Ziemi, kiedy ta nadwyreżona skorupa nareszcie rozpęknie się i rozproszy we wszechświecie?

Szczerze mówiąc myślę, że będzie wam to wówczas absolutnie obojętne.

Kiedy mój dom przestaje być więzieniem siadam w oknie i przyglądam się wędrującym bez celu kawałkom mięsa.

**A:** Przychodził późnym popołudniem. Przy drzwiach całował mnie w policzek, wieszał płaszcz i robił sobie kawę. Kiedy siadał obok mnie patrzyłam mu w twarz. Mówił coś unikając wzroku, wstawał, chodził i siadał. Zapalał lampę, a ja czułam jak dojrzewa w nim pragnienie. Wreszcie był gotów. Ukrył w sobie wstyd, poczucie winy i wszystkie myśli mijającego dnia. Kochaliśmy się łapczywie i szybko, jakby to było pierwszy raz. Leżałam wtulona w niego i pozwalałam ogarnąć się zmęczeniu. Znałam każdą z chwil, które teraz miały nastąpić i kiedy już zamykał za sobą drzwi śmiałam się cichutko. Nie byłam smutna, może tylko nieco zawiedziona. Zasypiałam nie pamiętając już nawet jego twarzy.

**A:** Rodzice jak natarczywe robactwo, często wracają w moich myślach. Przez całe dzieciństwo byli tak zajęci sobą, że często milkli na mój widok próbując zapewne przypomnieć sobie, kim jestem. Teraz są daleko, w zupełnie innym mieście, ale moja głowa jak poźółkły album pełna jest ich obrazów. Matka i ojciec nad morzem, przytuleni i roześmiani. W tle matowe fale i bezkresne niebo. Piasek. Opalona skóra. Mnie nie widać. Byłam gdzieś z boku. Mniej ciekawa od morza i chmur.

Ojciec ze swoim nowym samochodem. Jest skupiony, pochyla się przecierając przednią szybę. Samochód jest czerwony, ojciec lekko siwiejący, ja przezroczyista.

Matka tuż po porodzie. Miejski szpital. Matka uśmiechnięta choć wyczerpana, stoi w korytarzu żartobliwie rozkładając ręce. W dali widać pielęgniarkę. Odchodzi niosąc na rękach białe zawiniątko. Miałam wtedy pięć dni.

Znów oboje razem. Jest Wigilia. Ojciec mocuje się z korkiem od wina. Matka przyłapaną na podjadaniu ze stołu śmieje się i udaje, że zasłania twarz. Z tyłu choinka, ciężka od barwnych ozdób. Dalej okno, zarys jakiegoś budynku. Gdyby zrobić dobre powiększenie może możnaby dostrzec drobną postać na podwórku.

Kiedy mam dość tych obrazów dzwonię do nich, do zupełnie innego miasta i mówię im, jak to źle, kiedy przez całe życie wszędzie jest daleko.

**A:** Czy pisałam wiersze? W końcu jestem dziewczyną i moja szuflada pełna jest lirycznego bełkotu. Co jakiś czas dokładam tam nowy skrawek papieru, kompletując kartotekę sentymentalnych wieczorów. Któregoś dnia wyrzucę cały ten śmietnik, kiedy już będę

zdecydowana, albo kiedy szuflada będzie zbyt ciasna. Zrobię z owego gestu symbol na miarę freudowskiej psychoanalizy, w przyływie desperacji zacznę drzeć kartki, palić je szlochając i krzycząc na przemian. Wreszcie, kiedy nie pozostanie już nawet śladu po dręczącym bagażu, upadnę skonana na łóżko i będę leżeć wsłuchując się w ciszę i spokojny rytm bicia serca. Potem zasnę obserwując pełnię księżyca. A raniem wyjdę przed dom, dostrzegę dokładnie to samo i tak samo i wrócę by rozpocząć staranną pracę nad kolejnymi elementami nowej kartoteki.

**A:** Znowu weszło słońce. Siedzę w fotelu i przeglądam stare listy. To takie banalne zajęcie, ale lubię je od czasu do czasu. Zdarza się, że natrafiam na fragment, którego wydaje się, nigdy wcześniej nie czytałam, albo w jakichś słowach odkrywam zupełnie nowy sens, albo też najzwyczajniej w świecie pogrążę się w rozpamiętywaniu dawnych, dobrych czasów. Potrafię wtedy, tak jak dzisiaj, siedzieć przez całą noc, obojętna na nieubłagany upływ czasu. Skupiona na grze kolorów i emocji śmieję się, płaczę i słucham muzyki.

Z takiego stanu może wyrwać mnie tylko list z listopada. Jeśli natrafiam na niego w malowniczym wachlarzu białych kopert, odczuwam ulgę. Bo nie ma nic bardziej przygnębiającego niż listy z listopada. Już sama nazwa miesiąca pobudza korespondencyjną aktywność. Poza tym jest to miesiąc niezawodnych opadów mokrej papki i dni ponurych a chmurnych. W takich dniach zrodzone listy przepełnione są goryczą i bólem tak silnym, że aż niestrawnym.

Może nie jestem normalna, ale takie listy wywołują u mnie ataki histerycznego śmiechu. Słowo daję, tarzam się po podłodze i wyję nie mogąc powstrzymać, ilekroć przeczytam choć jedno zdanie. Gdyby którykolwiek z autorów tych listów widział, jak traktuję jego niecierpliwą szczerotę, nigdy więcej nie zaufałyby człekokształtnym. Niekiedy sąsiedzi zaniepokojeni dziwnymi odgłosami pukają w ściany, ale o powstrzymaniu mnie nie ma mowy. Pokładam się ze śmiechu póki ból brzucha i brak tchu nie zmuszą mnie do przerwania tej fascynującej lektury. Wtedy chowam koperty i powoli wracam do rzeczywistości.

Chyba, że przez przypadek rzucę okiem na kalendarz i dostrzegę, że właśnie mamy listopad.

**A:** Czy nie nazbyt wiele wspominam? Piotr wciąż powtarza mi, że nie mam terażniejszości, że żyję jakby w przesuniętym czasie, że zatrzymałam się w punkcie, z którego widać tylko przeszłość.

Oczywiście to kompletna bzdura. Lubię Piotra i wszystkich tych ludzi, którzy mienią się moimi przyjaciółmi, ale trochę drażni mnie, kiedy zaczynają analizować moje życie, przyglądać się mu, przeprowadzać ze mną poważne rozmowy i uśmiechać znacząco, gdy udaję, że nie zwracam na to uwagi.

Wiem dobrze jaka jestem i jaka chcę być. Osiągnęłam ten przykry stan zwany dojrzałością i potrafię podejmować właściwe decyzje. Potrafię...

**A:** Modlę się.

Dzisiaj jest bardzo pusto. Wyrzesałam przez okno i nie dostrzegłam na ulicy żadnego człowieka. Książka, którą wzięłam zamilkła. Z jej słów nie wynikało nic, prócz nieuporządkowanego napięcia. W muzyce panował chaos, dźwięki potęrały się ogłupiałe i zagubione. Telefon odpowiadał tylko echem mego własnego głosu. Usiadłam więc próbując

zrozumieć przedziwny stan w jakim znalazł się świat i wtedy pomyślałam, że powinnam się modlić.

Nigdy wcześniej tego nie robiłam, bo wiem, że Bóg nie istnieje.

Gdyby istniał byłby uosobieniem najbardziej skrajnej mieszanki cech ludzkich jaką można sobie wyobrazić. Z jednej strony perfidnie okrutny i wyrachowany, z drugiej anielsko miłosierny. Wypisz wymaluj podręcznikowy przypadek osobowości schizofrenicznej.

Chociaż patrząc na to, jak toczą się dzieje ludzkości taka ewentualność nie jest wykluczona.

Ja jednak wolę myśleć, że nie istnieje, niż zakładać, że o moim zbawieniu decyduje obłok energii niespełna rozumu.

A jednak modłę się i to wcale nie jest ironia czy tandetny żart, tylko jakaś silna, wewnętrzna potrzeba. Do kogo więc skierowane są słowa, których nie mogę powstrzymać?

Modłę się do jedynego Boga, któremu ufam i który może dać mi wiarę po stokroć przewyższającą świadomość mojego umysłu. Modłę się do siebie.

**A:** Są takie wieczory kiedy nazbyt mocno odczuwam swoją samotność. Najbardziej okrutne jest to, że na wyciągnięcie ręki wokół mnie nie ma drugiego człowieka. Nie widzę go, nie słyszę, nie czuję ciepła jego ciała, jego dotyku, delikatnego drżenia elektronów, znajomych wibracji we mnie.

Są takie wieczory, kiedy czuję się kobietą i czuję, że istnieje ktoś taki jak mężczyzna i brak mi go.

Pozornie tak podobne do mężczyzn, bo wywodzące się z tego samego gatunku zwierzęcego, jesteśmy jednak zupełnie odmiennymi istotami. Co prawda sprowadzanie różnicy między kobietą a mężczyzną do odwrotnego zapinania płaszczy jest nadmiernym uproszczeniem, lecz są historie, które będą nas dzielić po wsze czasy. I bardzo dobrze.

Istnieje jednak grupa kobiet, które bez wahania można nazwać nieszczęśliwymi, kobiet zagubionych i przerażonych siłą męskiego charakteru, kobiet, które nie tyle zraziły się do mężczyzn, co nie odnalazły do nich drogi i mylnie wmawiają sobie, że jedynym na to sposobem jest identyfikowanie się z mężczyznami, podrabianie ich stylu. Pod płaszczykiem haseł o emancypacji i prawach kobiety to właśnie one stają się ofiarami. Nic bardziej nie dowodzi słabości, niż nazwanie mężczyzny wrogiem i jednoczesna próba naśladowania go.

Prawdziwe kobiety wiedzą jak zdobyć mężczyznę i ulegając mu pozwolić, by robił dokładnie to, czego chcą.

Coraz mniej jest prawdziwych kobiet.

**A:** Muzyka. Odpływam z muzyką. Unoszę się, lekka i pozbawiona ciężaru, popychana harmonią dźwięków jak podmuchem wiatru, z taktu na takt coraz bardziej bezwolna, reagująca dreszczem na każdą nutę, w samym centrum energii zwanej miłością.

I oto jest łąka i niebo pokryte szarymi chmurami i przestrzeń nieskończona dokoła. Idę, po kolana zanurzona w trawie, obłoki pędzą nade mną w dal, dal jest tylko punktem na horyzoncie, ja jestem żywa i wypełniona życiem, które rozrasta się we mnie jak kwitnące pospiesznie drzewo. Krok po kroku przemierzam odległość, ale tu nie ma odległości, tylko niewyobrażalna głębia odczuwania, każde drżenie źdźbła trawy rezonuje we mnie, jakbym nitki nerwów zestrojone miała we wszystkich gamach światła, jakbym była instrumentem natury, jakby ona grała na mnie pulsującą melodię życia i śmierci, najbardziej uniwersalną muzykę tej zielonej planety...

**A:** Wczoraj zastanowiłam się nad sobą.

Trwało to dokładnie dwanaście sekund i nie przyniosło żadnego rezultatu.

Przez dwanaście sekund mój mózg pracował na podwyższonych obrotach i nic z tego nie wynikło.

Po dwunastu sekundach myślenia porzuciłam tę bezowocną czynność.

Po dwunastu sekundach świat istniał nadal.

Po dwunastu zmarnowanych sekundach odeszłam od lustra i wróciłam do łóżka.

**monodram wystawiany przez Teatr Imienia Róży Van Der Blaast  
premiera 03.04.1993r. Łódź D.K. ARIADNA**